

Ręka w ogniu

...że zaś zupełnie bez nadziei żyć nie można, znalazł rozwiązanie w dobrowolnym, prawie sztucznym męczeństwie.

Dostojewski, *Zapiski z martwego domu*

Wbrew temu, co się przypuszcza, cały system pracy przymusowej w Rosji – łącznie ze śledztwem, pobytem w więzieniu i życiem w obozie – nastawiony jest, bardziej niż na ukaranie przestępcy, na jego wyeksploatowanie gospodarcze i całkowite przeobrażenie. Tortury na śledztwie nie są stosowane jako zasada, ale jako środek pomocniczy. O co chodzi naprawdę, to nie tyle o wymuszenie na oskarżonym podpisu pod zmyślonym i fikcyjnym aktem oskarżenia, ile o kompletną dezintegrację jego osobowości.

Człowiek budzony co nocy – na przestrzeni długich miesięcy, a czasem nawet i lat – pozbawiony w czasie śledztwa prawa załatwiania najelementarniejszych potrzeb fizjologicznych, trzymany godzinami na twardym krześle, oślepiiony skierowaną prosto w oczy żarówką, kluty podstępными pytaniami i niesamowitym *crescendo* urojonych zarzutów, drażniony sadystycznie widokiem papierosów i gorącej kawy na stole – gotów jest podpisać wszystko. Nie o to jednak chodzi. Więźnia można uważać za „spreparowanego” do ostatecznego zabiegu dopiero wtedy, gdy widać już wyraźnie, jak jego osobowość rozpada się na drobne części składowe: pomiędzy skojarzeniami powstają luki, myśli i uczucia obluźwiają się w swych pierwotnych łożyskach i klekocą jak w zepsutej maszynie, pasy transmisyjne łączące teraźniejszość z przeszłością obsuwają się z kół napędowych i opadają na dno świadomości, wszystkie dźwignie i przekładnie intelektu i woli zacinają się, strzałki w zegarach pomiarowych skaczą jak oszalałe od zera do maksimum

i z powrotem. Maszyna kręci się dalej na zwiększonych obrotach, ale nie pracuje już tak jak dawniej – wszystko, co wydawało się oskarżonemu przed chwilą absurdem, staje się rzeczą prawdopodobną, choć ciągle jeszcze nieprawdziwą, uczucia zmieniają barwę, napięcie woli znika. I to, że pisywał listy do krewnych za granicą, może być zdradą interesów proletariatu, i to, że zaniedbał się w pracy, może być sabotażem budownictwa socjalistycznego. Dla sędziego śledczego nadchodzi moment decydujący. Jeszcze jeden celny cios w zdrętwiałą rdzeń oporu i maszyna stanie. Człowiek uśpiony pod narkozą zawisa na ułamek sekundy w próżni, niczego nie czuje, o niczym nie myśli, niczego nie rozumie. Trzeba działać szybko jak przy sztucznym szoku nerwowym lub przy przetaczaniu krwi, gdy na okamgnienie serce pacjenta przestaje bić. Małe przeoczenie, drobna zwłoka, a pacjent obudzi się na stole operacyjnym i zbuntuje się lub – załamię i pograżę w wiecznej apatii. Teraz, teraz albo nigdy! Oczy sędziego śledczego szukają jedyne, przygotowywanego na tę właśnie chwilę dowodu rzeczowego, ręce chwytają go jak lancet. Jeszcze parę godzin temu ten argument mógł się wydawać błahy, choć w przeciwieństwie do innych nie pozbawiony pewnych podstaw, teraz w wyjałowionej wyobraźni oskarżonego urasta do gigantycznych rozmiarów. Lancet trafił na właściwe miejsce i tnie głębiej. W nieprzytomnym pośpiechu chirurg wycina serce i przestawia je z lewej strony na prawą, usuwa zakażone płyty kory mózgowej, przeszczepia skrawki skóry, zmienia bieg krwi, wiąże na nowo poszarpane nerwy. Za chwilę mechanizm ludzki, zatrzymany w punkcie zerowym i rozłożony na najdrobniejsze części, zostanie złożony na powrót, ale już inaczej; luki pomiędzy skojarzeniami wypełnią inne wiązania, myśli i uczucia dopasowane zostaną dokładnie do innych łożysk, pasy transmisyjne zaczną przekazywać nie przeszłość teraźniejszości, ale teraźniejszość przeszłości, instynkt i wola zmienią kierunek działania, wskazówki w zegarach pomiarowych zatrzymają się na zawsze w maksimum. Oskarżony ocknie się z odrętwienia, zwróci zmęczoną, lecz uśmiechniętą twarz ku swemu dobroczyńcy i westchnąwszy głęboko, powie, że teraz wszystko rozumie, że błędził dotąd przez całe życie. Zabieg się udał, pacjent został nowo narodzony. Jeszcze raz tylko, gdy po powrocie do celi stanie nad kibelem i oddając powstrzymywany przez

parę godzin mocz, poczuje na czole kropelki potu, a w całym ciele ulgę i odprężenie, zawaha się chwilę, czy śnił, czy przeżywał może swoją reinkarnację na jawie. Po raz ostatni w życiu zaśnie z tym uczuciem męczącej niepewności, nazajutrz bowiem koło południa obudzi się pusty jak wydrążony orzech i osłabiony po nieludzkim wysiłku całego organizmu, ale olśniony myślą, że ma już nareszcie wszystko za sobą. I kiedy zacznie chodzić między pryzami, nie odzywając się do nikogo, można być pewnym, że stawia pierwsze kroki w innym już świecie – rekonwalescent o zablizniających się szybko ranach i zrastającej się na nowo osobowości.

Okres pomiędzy ukończeniem śledztwa a wyrokiem zaocznym, po którym następuje zazwyczaj szybki wyjazd do obozu, upływa oskarżonemu w celi na przystosowywaniu się do nowej sytuacji. Instykt podpowiada mu, że nie należy wdawać się w rozmowy z więźniami, którzy nie przeżyli jeszcze Wielkiej Przemiany – szwy na jego ranach są bowiem jeszcze zbyt świeże, aby wytrzymać szarpnięcia rozdrapujących je rąk. Niczego się tak podświadomie nie boi jak chwili, w której nowa rzeczywistość runie od jednego uderzenia niby kruchy domek z kart, a jakiś atawistyczny, przywalony gruzami starego świata głos popchnie go do drzwi celi z zaciśniętymi pięściami i rozpaczliwym okrzykiem: „Skłamałem, skłamałem! Odwołuję wszystko! Puśćcie mnie do sędziego śledczego, ja chcę do sędziego śledczego! Jestem niewinny, jestem niewinny!” Jeżeli szczęśliwy los pozwoli mu uniknąć tej chwili – tej straszliwej chwili, w której stary mózg okaże jeszcze dość siły, aby zrozumieć, że nowe serce bije inaczej i gdzie indziej niż dawniej, niwecząc w ten sposób pracowite dzieło miesięcy lub nawet lat – więzień może obojętnie i spokojnie leżeć całymi dniami na pryczy, czekając na transport do obozu. W tym stanie somnambulicznego odrętwienia dostrzega po paru dniach w chłodnym murze swego własnego więzienia wąską szczelinę, przez którą sączy się wątle światło ostatniej nadziei. Zaczyna marzyć o obozie. Zrazu nieśmiało, a potem coraz gwałtowniej nieznanym głosem – drogocenne relikwie dawnego życia, jedyny dowód, że było i mogło być inaczej – ludzi go wizją swobodnego życia w obozie, wśród ludzi, którzy nie wszyscy przecież zapomnieli o przeszłości. Liczy teraz głównie na dwie rzeczy: na pracę i na litość.

Nie o litość dla siebie mu chodzi – to, co przeżył, uważa w gruncie rzeczy za zwycięstwo. Czuje jednak niejasno, że jeśli ma ocalić nic łączącą go z zamierzchłymi czasami, w których był inny, to musi wzbudzić w sobie za wszelką cenę litość dla współtowarzyszy niedoli, współczucie dla cudzych cierpień, jedyny sprawdzian tego, że odmieniwszy się, nie przestał być człowiekiem. „Czy można żyć bez litości?” – pyta po nocach sam siebie, przewracając się z boku na bok i pocierając niespokojnie czoło, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie, czy niegdyś doznawał na myśl o cudzym nieszczęściu takiego samego uczucia bolesnej obojętności jak teraz, gdy narodził się po raz drugi. Czy można żyć bez litości?

Obóz nauczy go, że można. Będzie z początku dzielił się ostatnią kromką chleba z więźniami bliskimi obłądu głodowego, będzie prowadził z pracy pod rękę chorych na kurzą ślepotę, będzie wzywał pomocy, gdy jego towarzysz odrąbie sobie na „lesopowale” dwa palce u ręki, będzie ukradkiem zanosił do Trupiarni zlewki z zupy i główki od śledzi; po paru tygodniach spostrzeże się jednak, że robi to wszystko nie z bezinteresownego odruchu serca, lecz z egoistycznego nakazu rozumu – próbuje ratować przede wszystkim siebie, a dopiero potem innych. Obóz, ze swoimi wewnętrznymi obyczajami i systemem utrzymywania więźniów tuż poniżej dolnej granicy człowieczeństwa, dopomoże mu w tym niemało. Czy mógł był przypuszczać, że można poniżyć człowieka do tego stopnia, aby budzić do niego nie litość, ale wstręt nawet wśród współwięźniów? Jakże litować się nad „kurzymi ślepcami”, gdy się ich widzi codziennie potrącanych kolbami karabinów i opóźniających powrót do zony, a potem spychanych niecierpliwie z wąskiej ścieżki obozowej przez więźniów spieszących do kuchni; jak odwiedzać Trupiarnię, pogrążoną w wiecznym mroku i zgniłym fetorze ekskrementów; jak dzielić się chlebem z głodnym, który już nazajutrz przywita cię w baraku obłąkanym i natarczywym spojrzeniem? Po dwóch lub trzech miesiącach takiej walki więzień usiłujący po Wielkiej Przemianie przerzucić ostatnim wysiłkiem woli linkę ratowniczą w unicestwioną na śledztwie przeszłość, poddaje się i po raz pierwszy słuca bez sprzeciwu utyskiwań na pryczy, że „barachło w trupiarni żre cudzy chleb, nie pracując”, „kurzy ślepcy zatarasowują wszystkie

przejścia w obozie i obniżają wyработку po zmroku”, a chorzy na obłąd głodowy powinni siedzieć w izolatorze, bo niedługo już zaczną kraść chleb. Miał więc rację sędzia śledczy, gdy mówił, że żelazna miotła sprawiedliwości sowieckiej zmiata do obozów jedynie śmiecie, a ludzie prawdziwie godni tego imienia potrafią dowieść, że popełniono w stosunku do nich omyłkę. Ostatnia nić pękła, wychowanie zostało skończone. Pozostaje już tylko eksploatacja taniej pracy przymusowej i jeżeli „pierewospitannyj” więzień zdoła przeżyć osiem lub dziesięć lat katorgi niewolniczej, można go będzie bez chwili wahania posadzić za stołem sędziowskim, naprzeciwko przyszłego oskarżonego, który zajmie kiedyś jego dawne miejsce.

Są jednak i tacy, którzy w momencie tej ostatniej próby budzą się nagle i przystają na rozdrożu, aby dostrzec z przeraźliwą jasnością, że ich oszukano. Nie przekonano ich, nie nawrócono – zniszczono ich jako ludzi, wypalono w nich gorącym żelazem wszystkie uczucia ludzkie! Wszystkie – z wyjątkiem jednego. Jest już za późno, żeby doskoczyć do drzwi z okrzykiem: „Ja chcę do sędziego śledczego, jestem niewinny!”, ale jest jeszcze dość wcześnie, aby w miejsce pokonanej litości rozdmuchać w stygnącym popiele własnego życia wysoki płomień z ostatniej iskierki człowieczeństwa – z dobrowolnego i prawie sztucznego męczeństwa.

*

Niepodobna bez tego wstępu zrozumieć historii Michaiła Aleksiejewicza Kostylewa, nowego więźnia, który po przybyciu z „łagpunktu” w Mostowicy przydzielony został do naszej brygady.

Nie stosował się on bowiem do wszystkich więźniów sowieckich, a tym mniej jeszcze do nas, Polaków. Ogółem biorąc, śledztwo w sprawach Polaków, uwięzionych po aneksji Kresów Wschodnich przez Rosję w roku 1939, ograniczało się jedynie do wymuszenia podpisu pod fikcyjnym aktem oskarżenia, miało więc raczej na celu znalezienie dogodnego pretekstu dla urzędów zajmujących się rekrutacją taniej siły niewolniczej i depolonizacją nowo zajętych ziem niż reedukację przyszłych obywateli Związku Sowieckiego. Z tego, że

prorowadzone było w większości wypadków pospiesznie i chaotycznie, można wnosić, że Rosjanie uważali brankę we wschodniej Polsce za zabieg profilaktyczny w okresie przejściowym i wbrew własnym zarozumiałym oświadczeniom liczyli się najwidoczniej z możliwością przetargu na powojennej konferencji międzynarodowej. W przekonaniu rządu sowieckiego Kresy Wschodnie zostały na mocy układu rozbiorowego Ribbentrop-Mołotow definitywnie włączone do Rosji, ale ich polscy mieszkańcy mieli być aż do zakończenia wojny czymś w rodzaju zastawu, który eksploatuje się i puszcza w obieg jak majątek dłużnika obłożony sekwestrem przez wierzyciela. Nie trzeba dodawać, że gdyby wojna przybrała inny obrót i Rosjanie mogliby się jej bezkarnie przyglądać z boku, czekając na ostateczne zwycięstwo Niemiec, ten „zastaw” przeszedłby definitywnie na własność osobliwego „wierzyciela”, a półtora miliona obywateli wschodniej Polski rozpoczęłoby swoją wędrówkę śledczą i więzienną od początku, tym razem już pod okiem wytrawnych „pieriewospitateli”.

W chwili kiedy Kostylew obudził się ze swego dwuletniego odrętwienia, uświadomił sobie dwie rzeczy: że go oszukano i jak go oszukano. To wszystko, co wyżej opisałem, nie jest tedy moją, *ex post* zbudowaną teorią na temat systemu wychowawczego więzień i obozów sowieckich lub psychologiczną interpretacją dziejów życia i śmierci M.A. Kostylewa, lecz jego własną, wielokrotnie powtarzaną i uzupełnianą opowieścią. Jak pies gończy puszczone raz na właściwy trop, Kostylew prześledził dokładnie wszystkie najdrobniejsze szczegóły swojego uwięzienia, śledztwa i życia w obozie i nauczył się mówić o nich spokojnie, przekonywająco i ze znanstwem, podobny w tym czasem do gruźlika, rejestrującego z pozorną obojętnością symptomy i postępy swej własnej choroby. Nie ja również wymyśliłem próbę uratowania zagrożonego człowieczeństwa poprzez litość, a potem dobrowolne męczeństwo. Zapoznał mnie z nią sam, gdy wypytywałem go, do czego zmierza, opalając co parę dni swą prawą rękę w ogniu. Sposób, w jaki to mówił, mógł nasuwać podejrzenia, że Kostylew bliski był jakiejś szczególnej formy manii religijnej, odziedziczonej w spadku po całych pokoleniach rosyjskich mistyków, lub łagodnej schizofrenii, która rozwijała się w nim niepostrzeżenie dla niego samego nawet po

wstrząsie przeżytym w czasie blisko rocznego śledztwa i pierwszych paru miesięcy pobytu w obozie. Opowiadał spokojnie, precyzyjnie i inteligentnie, z tą typową dla umysłowo chorych wnikliwością, która nie dopuszcza sprzeciwów, i zjednawszy słuchacza dla przesłanek, jedna go również dla konkluzji. Nie wykluczam ani jednej z tych możliwości, ale nie powstrzymują mnie one od powtórzenia jego historii. Tak czy owak bowiem, przyjaźń z Kostylewem zaważyła poważnie na moich doświadczeniach sowieckich, a jego śmierć nie przeszła również bez echa wśród pozostałych więźniów obozu w Jercewie.

Kostylew miał 24 lata, gdy z polecenia partii opuścił politechnikę w Moskwie i wstąpił do Akademii Morskiej we Władywostoku. Sam pochodził z Woroneża i wcześniej osierocony przez ojca musiał od najmłodszych lat troszczyć się o utrzymanie matki, która po śmierci męża przelała na syna całą swą niewyżytą miłość owdowiałej przedwcześnie kobiety. Dla młodego Kostylewa miłość do matki była również jedynym trwałym punktem oparcia w otaczającej go rzeczywistości. Należał wprawdzie najpierw do komsomołu, a potem do partii, ale jego życie osobiste wymykało się nieustannie z ram tresury politycznej i szukało ucieczki w ramionach matki. Ojciec, umierając, nakazał mu wierność matce i „wielkiemu dziełu Rewolucji Październikowej”. Kostylew zbyt głęboko wrósł był od dzieciństwa w atmosferę komunizmu, by przypuszczać, że może jeszcze istnieć na świecie coś trzeciego. Toteż nie zawahał się – mimo że, jak twierdził, ciągnęła go zawsze literatura – gdy komsomoł wezwał go do wstąpienia na politechnikę w Moskwie; nie opierał się również, gdy jako młody inżynier konstruktor został wysłany przez partię do Szkoły Morskiej we Władywostoku.

W tym miejscu, zanim nastąpią dalsze wypadki, warto zastanowić się pokrótce, na czym polegał komunizm Kostylewa. W pierwszym rządzie na wychowaniu. Matka, prosta i religijna raczej kobieta, niewiele rozumiała z tego, co jej mówił często mąż, ale przez pietyzm dla jego pamięci i instynktowne wyczucie bezpieczeństwa rodzinnego podsycala w synu zapal rewolucyjny. Starczyło tego zaledwie na późne dzieciństwo i wczesną młodość. Kiedy Kostylew zapisywał się na

uniwersytet, był już na tyle inteligentny, że zapragnął pójść o krok dalej i ogarnąć rozumem zasady wiary, której był dotąd posłuszny sercem. Zapoznał się z klasykami marksizmu, przestudiował dokładnie Lenina i Stalina, brał żywy udział w zebraniach partyjnych i wyrobił sobie pogląd, że jako inżynier-komunista będzie w Rosji, „dościgającej i prześcigającej Zachód”, czymś w rodzaju misjonarza nowej cywilizacji technicznej. W ciągu lat samotnego współżycia z matką, gdy wracając ze szkoły, widział codziennie jej surowy profil za szybą parterowego domku w Woroneżu i w półmroku pochylał się z lekkim ukłuciem bólu do jej rąk stwardniałych od pracy, wyrobił w sobie potrzebę cierpienia dla cudzego szczęścia. Z „politgramoty” dowiedział się, że prawdziwe cierpienie istnieje tylko na Zachodzie, zapalił się więc do myśli o rewolucji światowej. Ważnym punktem w kształtowaniu się jego osobowości był fakt, że wśród nieprzytomnych ataków prasy i propagandy sowieckiej na świat kapitalistyczny Kostylew złożył swoje śluby walki wyzwolenczej o wolność uciemiężonych Europejczyków nie w imię nienawiści, lecz w imię miłości do nieznanego Zachodu.

Niełatwo pojąć, jakim cudem ten młody chłopiec, który do czasu wyjazdu na studia nie wychylił nosa poza rogatki rodzinnego Woroneża i ściany ubogiego mieszkańca robotniczego, potrafił wytworzyć sobie tak wysublimowany obraz Zachodu. Jest rzeczą prawdopodobną, że skłonny z natury raczej do entuzjazmu niż do nienawiści, chłonał wyobraźnią z partyjnej „politgramoty” przede wszystkim postacie kanonizowanych oficjalnie „bojowników postępu” – tym jaśniejsze, im bardziej przeczerzone wulgarnym żargonem było tło społeczne, polityczne, religijne i obyczajowe, na którym działały. Wychowawcy sowieccy niedostatecznie jeszcze zdają sobie sprawę z funkcjonowania wyobraźni młodzieńczej; prawie zawsze sylwetki świętych o wyraźnie zarysowanych konturach odciskają się w niej głębiej niż czyhające na nich zewsząd moce piekielne. Było rzeczą śmieszną i tragiczną zarazem widzieć w marcu 1941 roku Kostylewa, drżącego z zachwyty i przejęcia na sam dźwięk nazwiska Thoreza. Uważał go za jedyne prawowitego sukcesora Wielkiej Rewolucji Francuskiej, choć nie bardzo jednocześnie rozumiał, dlaczego jest on tak niewolniczo posłuszny temu, który „zdradził Rewolucję Październikową”.

Młody Misza nie tracił czasu. Na marginesie swoich studiów politechnicznych i zajęć partyjnych potrafił w ciągu czterech lat nauczyć się na kursach wieczorowych francuskiego na tyle, aby móc swobodnie czytać. We Władywostoku zaczął dużo czytać i natrafił przypadkowo na dziennik podróży Gonczarowa dookoła świata *Friegat „Pallada”*. To „putiesestwije” skierowało jego młodzieńcze rojenia na tory bardziej realne; Kostylew zabrał się do nauki ze zdwojoną energią, opanowany nieprzytomną gorączką podróżowania. Nie ulega wątpliwości, że jego życie układało się co najmniej dziwnie. Przeżywał dzieciństwo w wieku dojrzałym, biorąc odwet za przedwczesną dojrzałość w dzieciństwie.

Na drugim roku studiów w Akademii Morskiej Kostylew znalazł we Władywostoku małą wypożyczalnię prywatną, a w niej parę zniszczonych książek francuskich: Balzaca, Stendhala, *Szkoła uczuć* Flauberta, *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta i *Adolfa* Constanta. Nie spodziewał się po nich niczego nadzwyczajnego – chciał się tylko „poćwiczyć w języku”. Świat, jaki mu otworzyły, przeszedł jednak wszystkie jego oczekiwania – był podobny do bajki. Kostylew żył odtąd w stanie ciągłego podniecenia. Czytał po nocach, zaniedbał się w nauce, opuścił parę zebrań partyjnych, zamknął się w sobie i odwrócił się od najbliższych przyjaciół. Wiele razy próbował mi potem wytłumaczyć, jakie uczucie wywołało w nim to odkrycie literatury francuskiej.

– Byłem chory na tęsknotę za czymś nieokreślonym – opowiadał, gładząc zdrową ręką kanciasty i ogolony łeb – odetchnąłem innym powietrzem, jak człowiek, który nie wiedząc o tym, dusił się przez całe życie. Zrozum, nie chodzi o fakty; ostatecznie wszędzie na świecie ludzie kochają się, umierają, bawią, intrygują i cierpią. Chodzi o atmosferę. Wszystko, co czytałem, działo się jak gdyby w klimacie podzwrotnikowym, gdy ja żyłem od urodzenia w lodowatej pustce... W Moskwie widziałem również inne życie, ale miało ono w sobie coś z sekciarskiego rozpasania, nie przelewało się na ulicę przez brzegi zamkniętych hoteli...

– Misza – oponowałem z przekory – przecież to jest tylko literatura. Nie wiesz nawet, ile na Zachodzie jest nędzy i cierpienia...

– Wiem, wiem – potrząsał głową – to samo powiedział mi potem sędzia śledczy. Jeżeli kiedykolwiek poczułem tylko na krótko, czym jest

wolność, to właśnie wtedy, kiedy czytałem książki francuskie od starego Bergera. Byłem jak okręt uwięziony wśród lodów i nie dziw się, że próbowałem się z nich wyłamać na ciepłe wody.

Kostylew używał często niezbyt szczęśliwych porównań literackich, ale to było wyjątkowo trafne. Duży, zwalisty, z głową pochyloną jak żelazny taran i pięścią wielkości kowalskiego młota podobny był istotnie do łamacza lodów.

Historia Kostylewa, niezupełnie dla mnie jasna wówczas, gdy ją słyszałem i oglądałem, dziś staje się czytelna jak rozszyfrowany palimpsest. Gdyż w poszukiwaniu starego tekstu najważniejsze było to, aby nie dać się zwieść interpretacji Kostylewa i zobaczyć jego tragedię tak, jak odcisnęła się w jego własnej pamięci w pierwotnej, nieświadomej formie. Niestety! Kostylew był tu sam badaczem i zanim dopuścił do odczytywania swego życia innych, poddał je na własną rękę drobiazgowej i bardzo jednostronnej analizie. Był na przykład przekonany, że „zmartwychwstał” dzięki kilkunastu podniszczonym romansom francuskim, gdy ja osobiście uważałem, że przeczytał je po prostu za późno i na nieszczęście po francusku. O ile wiem, wszystkie „odkryte” przez Kostylewa książki były tłumaczone na rosyjski i odkreśliwszy nieznośne komentarze marksistowskie, można je było swobodnie czytać w tanich wydaniach Gosizdatu. Traf chciał, że Kostylew przeczytał je po francusku w wieku, kiedy spóźniony i niewyżyty bunt ma już w sobie zazwyczaj coś chorobliwego i maniakalnego; uroił sobie więc, że go oszukano, że ukrywano przed nim „całą prawdę”. Miał do Zachodu stosunek nawróconego neofity, który błędzenie w dawnej wierze przypisuje sprzysiężeniu kłamstwa i perfidii zazdrosnych kapłanów. Odsunął się od partii, nie zawahał się nawet złożyć części winy za służenie fałszywym bogom na barki matki. Któregoś dnia zapomniał się w dyskusji z kolegami i wybuchnął: „Wyzwolić Zachód! Od czego? Od takiego życia, jakiego myśmy nigdy nie oglądali na oczy!” Zapanowała martwa cisza, ale ten drobny incydent poszedł chwilowo w niepamięć.

W roku 1937 właściciel prywatnej wypożyczalni książek – stary Niemiec nadwołżański, Berger – został aresztowany, a w parę tygodni potem pociągnął za sobą Kostylewa. Pierwsze przesłuchanie zdawało

się wskazywać, że udział Kostylewa w sprawie Bergera był raczej przypadkowy. Wymieniając ludzi, którzy odwiedzali wypożyczalnię książek, stary Niemiec nie zapomniał również o „wysokim, barczystym uczniu Szkoły Morskiej”. Mimo że Bergera zagnała do więzienia Wielka Czystka, w jego sprawie było sporo autentycznych poszlak, które zaostrzyłyby czujność każdej normalnej policji. Gdyż co do jednego nie było wątpliwości: kierownictwo Dalstroju na Kołymie wymieniało za pośrednictwem starego Niemca złoto na obcą walutę i przedmioty zbytku z japońskimi markami fabrycznymi.

Skatowany do utraty przytomności, bity na nowo po otrzeźwieniu wiadrem zimnej wody, z oczami ledwie widzącymi przez szpary w plastrze zakrzepłej krwi i ustami obrzękłymi od poszarpanych dziąseł i chwiejących się zębów – Kostylew nie przyznawał się do winy z uporem, który rósł w miarę, jak potęgowały się zadawane mu cierpienia. Jakże skomplikowanym i nieobliczalnym mechanizmem jest organizm ludzki! To prawda, że istnieje w nim pewna określona granica wytrzymałości, ale przekroczywszy ją trzeba się liczyć tyleż samo z załamaniem, co z nieoczekiwanym buntem, który jest formą znieczulenia *in extremis*. Stan trwałego otępienia, spowodowany przerwaniem pierwszej linii oporu fizycznego i zmiżdżeniem wszystkich gniazd, które wraz z bólem emitowały rozkaz poddania się, kończy się zazwyczaj zupełnym paralizem woli i zwichnięciem kręgosłupa, równie teraz bezużytecznego, jak przetrącony patyk w szmacianej kukle; ale bywa niekiedy i tak, że zdrętwiały od bicia organizm powtarza machinalnie ostatnie zapamiętane wysiłki broniącej się rozpaczliwie świadomości, niby odruchy warunkowe ciała pogrążonego już w agonii. Kostylew pamiętał tylko jedno: że cedził z zaciekłą determinacją przez zaciśnięte kurczowo zęby „jestem niewinny, nie byłem nigdy szpiegiem”. Zemdlał – tym razem na długo – w chwili, gdy krzyknąwszy po raz ostatni „nie”, poczuł, jak od konwulsyjnego skurczu szczęk ustępują nagle przednie zęby, i dusząc się wypluł je wraz z falą ciepłej krwi i wymiotów, która przedarła się przez zatkany przełyk i bluznęła na ścianę jak nafta z przewierconego szybu. Poczuł pewną ulgę i pogrążył się w ciemności. To go uratowało.

Gdy ocknął się po paru dniach w szpitalu więziennym, był już umyty i zabandażowany.

Na następnym przesłuchaniu sprawa szpiegostwa ustąpiła miejsca ogólnikowej rozmowie na temat poglądów politycznych Kostylewa. Było jasne, że NKWD nie chciało odesłać go w takim stanie do Szkoły Morskiej i postanowiło przestawić śledztwo na inny tor. Nie mogło być już mowy o uratowaniu zmasakrowanej twarzy młodego inżyniera sowieckiego, ale można było jeszcze uratować twarz potężnej instytucji, która od dwudziestu lat stała czujnie na straży rewolucji. Teoria prawa sowieckiego opiera się na założeniu, że nie ma ludzi niewinnych. Sędzia śledczy więc, gdy dostaje w ręce oskarżonego, może ostatecznie po długich badaniach zrezygnować z postawionego na wstępie zarzutu, ale to nie znaczy, żeby miał nie spróbować szczęścia gdzie indziej. Więźniowie śledczy znaleźli dla tego osobliwego proceduru świetne określenie: co ci „przyczepili”? pytają powracających z przesłuchania towarzyszy. W rezultacie wyrok skazujący jest zawsze czymś w rodzaju kompromisu; oskarżony dowiaduje się, że nie „przyszedł tu na darmo”, a NKWD kultywuje bez przeszkód mit swojej własnej nieomyślności.

Nie ma tu potrzeby dokładnego opisywania śledztwa w sprawie Kostylewa, skoro cała teoria dezintegracji i przeobrażenia osobowości pewnego określonego typu więźniów zbudowana została w pierwszej części tego rozdziału na jego doświadczeniach. Teczka Kostylewa została wyjęta ze sprawy Bergera i oddana w ręce nowego sędziego śledczego. Młody inżynier odetchnął. W czasie śledztwa, które z niewielkimi przerwami trwało w więzieniu władystockim blisko rok, nie uderzono go już ani razu. Chwilami przesłuchania nocne przypominały zapalczywe dyskusje studenckie; Kostylew bronił się, atakował, wygłaszał długie przemówienia, a po powrocie do celi przygotowywał się do następnego pojedynku jak adwokat do rozprawy. Przez cały ten czas sędzia śledczy uprzejmie słuchał, wtrącając tylko niekiedy krótkie uwagi i robiąc notatki. Dla Kostylewa, nauczonego już, że NKWD ma w razie potrzeby na podorędziu i inne argumenty, te trzy pierwsze miesiące rozpoznania były jak poranny sen po nocnym koszmarze. Polubił nawet na swój sposób małomównego i zawsze uśmiechniętego sędziego, który częstował go kawą i papierosami,

wypytywał troskliwie o rany na głowie i nachylał uważnie uszu, ilekroć Kostylew ściszał w zadumie głos. Pierwsza faza jednak zdawała się nie prowadzić do niczego. Kostylew opowiedział o sobie wszystko, przyznał się do swojej grzesznej miłości do Zachodu i zażądał przeniesienia całej sprawy z więzienia przed plenum organizacji partyjnej w Szkole Morskiej. Ostatecznie oskarżenie o „uleganie wpływom liberalizmu burżuazyjnego” mogło być w najgorszym razie przedmiotem rozważań na posiedzeniu centralnego komitetu studenckiego, który przedłużył lub unieważnia legitymacje partyjne, a nie jedynym punktem przewodu śledczego w więzieniu NKWD. Jego inkwizytor był innego zdania i przeszedł z kolei sam do ataku.

Dekoracja śledztwa zmieniła się jak na scenie rotacyjnej. Kostylewa budzono w nocy, odprowadzano po paru godzinach do celi, budzono znowu o świcie, wywoływano na badanie w czasie posiłków dziennych i godzin przeznaczonych na załatwianie potrzeb fizjologicznych w ustępie, odmówiono mu mycia i codziennych spacerów na dziedzińcu więziennym. Nie było już mowy o papierosach i gorącej kawie. Kostylew chodził błędny, oszołomiony, z zaczerwienionymi od niedospania oczami, z rozpaloną od nie zagojonych jeszcze ran głową, w której krew szumiała jak resztki wrzątku w blaszanej bani. Bywały chwile, że słańiał się na nogach i opierał się jak ślepiec rękami o ściany korytarza, idąc w jasny dzień na badanie, lub mdlał na twardym zydłu za stołem śledczym. Dniem i nocą w małym pokoiku, w którym spędzał teraz po kilkanaście godzin na dobę, czarne żaluzje opuszczone za kratą odgradzały go od płynącego za oknami czasu i wydawały na łup podstępnych pytań w przeraźliwie jasnym kręgu żarówki. Niekiedy wydawało mu się, że jego głowa jest ogromnych rozmiarów poduszką, wypchaną pakułami i najeżoną tysiącami szpilek. Czuł ich bolesne, zwielokrotnione ukłucia i w przystępie rozpaczki próbował stłumić cierpienia, szarpiąc bandażę na czole, skroniach i policzkach lub zatykając rękami uszy, w których ukłucia szpilek zamieniały się w ostry, metaliczny i sypki dźwięk stalowych opiłków, uderzających o dno pustej skorupy. Zatracił poczucie czasu, we śnie osłabiały go ciągłe polucje, zrywał się z pryczy na dźwięk swego nazwiska zaczadzony i półprzytomny, wodząc dokoła zaognionymi oczami.

Gdyby chodziło tylko o przyznanie się do abstrakcyjnej winy, był już w zasadzie gotów i parokrotnie nawet próbował sam podsunąć tę myśl sędziemu śledczemu. Ale inkwizytor, któremu twarz zmieniła się nagle, jak gdyby opadła z niej maska, żądał teraz znowu faktów. Kto należał do tajnej organizacji w Szkole Morskiej? Kogo Kostylew wtajemniczył w swoje poglądy? Gdzie i kiedy odbywały się zebrania? Jaki był cel praktyczny organizacji? Jakie miała kontakty z zewnątrz? Kto był przywódcą? Kostylew zaprzeczał ostatnim wysiłkiem woli, czuł jednak, że jeśli śledztwo potrwa dłużej, zacznie zmyślać nazwiska i fakty, aby w fikcji znaleźć ratunek przed groźną próżnią rzeczywistości. Te trzy miesiące najbliższe były w swym napięciu i męczarniach fizycznych krótkiemu epizodowi tortur, gdy na wokandzie była jeszcze sprawa Bergera. Którejś nocy śledztwo przybrało nieoczekiwany obrót; Kostylew dostał do podpisania dokument stwierdzający, że jego agitacja w Szkole Morskiej nie przybrała nigdy określonych form organizacyjnych.

W okresie trzecim śledztwo zelżało znowu. Kostylewa wzywano raz na tydzień, a czasem nawet raz na dwa tygodnie na wieczorne przesłuchania, w czasie których głównym przedmiotem przyjaznych rozmów stał się dla odmiany „rzeczywisty obraz życia na zachodzie Europy”. Mówił przeważnie sędzia śledczy – jak dawniej uprzejmy, uśmiechnięty i wyrozumiały – a Kostylew słuchał lub zadawał pytania. Mówił inteligentnie i ciekawie, posługując się książkami, cyframi i faktami.

Sama zmiana tonu śledztwa wystarczyłaby, aby skłonić Kostylewa po tym, co przeżył, do rozsądnego aktu skruchy. W grze było już jednak coś więcej. Kostylew dał się przekonać naprawdę, wierzył każdemu słowu swego dawnego prześladowcy. Słuchał, szepcząc cicho: „užas”, wypytywał o szczegóły, sam podsuwał konkluzje logiczne, zapoznawszy się z faktami – słowem, w takim samym szczerym uniesieniu odkrywał teraz fałsz Zachodu, jak niegdyś poznawał jego prawdę. Mogłoby się wydawać, że ropa rozlana pod skórą wezbrała nareszcie w jednym miejscu, gotowa do cięcia. Inkwizytor przeciągał jednak sztucznie przesłuchania, jak gdyby chcąc się dostatecznie upewnić, że nawrócenie grzesznika nie jest tylko obłudnym wybiegiem bezsilnej ofiary. O cóż

jeszcze chodziło? Gotów był odpokutować za wszystkie chwile swojego zbłąkania i słabości, bo uwierzył na nowo. Gotów był potem swoją pracą wykazać, że potrafi życie poświęcić temu, co pokochał.

– No, Kostylew – powiedział wreszcie któregoś wieczoru sędzia śledczy – skończymy dzisiaj śledztwo. Podpiszesz tylko akt oskarżenia i koniec. Wszystko sprowadza się do jednego: chciałeś z pomocą obcych mocarstw obalić obecny ustrój Związku Sowieckiego.

Kostylew skurczył się i zapadł jak od nagłego ciosu. Krew uderzyła mu do głowy i jeszcze chwila, a krzyknąłby głośno: „kłamstwo!” Zdołał jednak tylko wymamrotać w osłupieniu:

– Obalić z pomocą obcych mocarstw ustrój Związku Sowieckiego?...

Nie spuszczać z niego oczu, sędzia śledczy sięgnął do teczki i rzucił na stół zeznanie podpisane przez trzech uczniów Szkoły Morskiej z jednym zdaniem podkreślonym czerwonym ołówkiem.

– Czytaj na głos – rozkazał ostro.

– Wyzwolić Zachód! Od czego? Od takiego życia, jakiego myśmy nigdy nie oglądali na oczy!

Położył kartkę na stole i opuścił głowę. Przypomniał sobie swoją gorączkę podróżowania, swoje marzenia o wyjeździe na Zachód. Kto wie, kto wie... Wszystko wydawało się logiczne – nierealne, ale przeraźliwie logiczne. Leżała przed nim kolumna ileż razy sprawdzonych cyfr! – pozostawało tylko podkreślić ją i wpisać ostateczną sumę. Poprosił o akt oskarżenia i położył na nim wolno swoje nazwisko.

– Czy mogę napisać do matki? – zapytał cicho. – Nie pisałem do niej od roku.

– Dostaniesz jutro w celi papier listowy i kopertę. Po skończonym śledztwie Kostylew wrócił tylko na chwilę do swojej pojedynki po rzeczy i został odprawiony do zbiorowej celi. Leżał na pryczy w milczeniu, odgrodziwszy się od rozmów, i spoglądał w sufit. Tak więc koszmar bezsennych nocy i dni pełnych męczącego napięcia nerwowego dobiegł końca. Rad był bliskiemu wyjazdowi do obozu. Po rocznej prawie bezczynności, równie chwilami dręczącej, jak śledztwo i tortury, chciał nareszcie pracować i wrócić między ludzi. „Czy można żyć bez litości –

powtarzał sobie po nocach, myśląc o przyszłych towarzyszach – czy można żyć bez litości?”

W styczniu 1939 roku Kostylewa odesłano z wyrokiem dziesięcioletnim do obozu kargopolskiego i po paru dniach pobytu w Jercewie skierowano w ramach „spiecznaprawlenija” do Mostowicy. W tym czasie dał się poznać wśród więźniów „łagpunktu” mostowickiego jako „święty”; jeszcze długo po jego śmierci w baraku „pieriesylnym” słyszało się z czcią wymawiane nazwisko „inżyniera Michaiła Aleksiejewicza Kostylewa”, ilekroć do Jercewa przyszedł większy etap z Mostowicy. Jako inżynier ze „spiecznaprawlenijem” Kostylew otrzymał nieco lepsze warunki życia i stosunkowo lekką pracę; rozdawał między więźniów prawie cały swój chleb, zanosił do Trupiarni talony na zupeę, wykorzystywał fakt, że wolno mu było wychodzić za zonę bez konwoju, aby przynosić czasem trochę tłuszczu lub jarzyn dla chorych, w brygadach, które mu podlegały na tartaku mostowickim, obliczał wszystkim więźniom normy wyższe od rzeczywistej wydajności pracy. Właśnie ta „tufta” go zgubiła. Zadenuncjowany przez jednego z brygadierów, został administracyjnym zarządzeniem naczelnika obozów kargopolskich pozbawiony na czas odbywania wyroku prawa pracy „po spieczalnosti” i odesłany do brygady leśnej. Zapomniał w niej szybko o litości, bo sam potrzebował jej teraz bardziej niż inni. Praca fizyczna złamała go i poniżyła do tego stopnia, że nie było rzeczy, której by nie zrobił dla zdobycia dodatkowego kawałka chleba. Znienawidził współwięźniów i uważał ich odtąd za swoich naturalnych wrogów. Byłby może stoczył się jeszcze niżej, na samą krawędź największej zbrodni, jakiej dokonać może człowiek wart tego imienia w obozie – zbrodni donosu – gdyby przypadek nie podsunął mu jednej z książek, którą czytał niegdyś na wolności we Władywostoku. Kostylew odczytał ją na nowo, płacząc jak dziecko, które odnalazło w ciemności rękę matki. Tak oto po raz drugi zrozumiał, że go oszukano.

W marcu 1941 roku Kostylew przyszedł etapem do Jercewa z prawą ręką na temblaku i zaliczony został formalnie do naszej brygady tragarzy.

W baraku już się rozwidniało, ale dwudziestu paru tragarzy spało pokotem w rogu, nie drgnąwszy nawet na okrzyk Dimki, oznajmiający koniec śniadania. Po całodziennej pracy i przed powtórным wymarszem na bazę w południe pozwalano nam przesypiać „podjom” – pobudkę poranną – i pobierać śniadanie w przerwie obiadowej.

Był to czas, kiedy ciągle jeszcze nie mogłem podołać ciężkiej pracy fizycznej. Często spałem na dobę tylko dwie godziny snem kamiennym, ciężkim, podobnym do utraty przytomności. Zaraz potem budziłem się i leżałem bez ruchu na pryczy wśród śpiących nerwowo towarzyszy, osuwając się z myślą o nowym dniu pracy.

Właśnie dlatego, że nie spałem na ogół po „podjomie”, odkryłem tajemnicę zabandażowanej ręki Kostylewa nazajutrz po jego przybyciu do brygady. Dimka, krzyknąwszy symbolicznie, że na kuchni skończyło się wydawanie śniadania, wyszedł jak zwykle do zony. W baraku było pusto; tylko obok pieca siedział młody człowiek, czytając z przejęciem książkę. Jeszcze wczoraj powiedziano nam, że do brygady przyszedł z Mostowicy nowy więzień, który pójdzie z nami normalnie do pracy, skoro tylko po zagojeniu ręki skończy mu się zwolnienie. Wysokiego wzrostu, głowę miał przecież jeszcze o wiele za dużą i kanciastą, jak gdyby odłupaną z surowego kamienia. Nisko sklepione czoło zwisało krzaczastymi brwiami, zasłaniając prawie maleńkie, rozjarzone oczy, które jak dwa węgielki tonęły w puchliźnie głodowej. Dopiero niżej zaczął się w jego twarzy coś, co nadawało jej niezapomniany wyraz inteligencji, połączonej z jakimś szalonym, zaciętym uporem. Zwłaszcza wąskie, kurczowo zaciśnięte usta przywodziły od razu na myśl portrety średniowiecznych mnichów. Pamiętam, że byłem zachwycony tym rzadkim połączeniem wrażliwości i z gruba ciosanej, niemal brutalnej chropowatości. Odrastające nad czołem włosy jeszcze silniej podkreślały w jego głowie cechy kamiennej rzeźby. Lewą ręką przewracał z instynktownym nabożeństwem kartki książki, a prawą – nieruchomą – przytrzymywał ją, aby nie spadła. Gdy czytał, w kącikach jego ust błąkał się uśmiech czarująco naiwny, prawie dziecinny.

W pewnej chwili, upewniwszy się, że w naszym kącie nikt się nie rusza, odłożył książkę i zdrową ręką zaczął odwijać bandaż. Trwało to parę minut, w czasie których raz czy dwa dorzucił do ognia trochę

drzewa. Przed ostatecznym oderwaniem zeskorupiałego okładu od rany spojrział znowu w naszym kierunku i odrzuciwszy głowę w tył, szarpnął gwałtownie. Zdawało mi się, że patrzy prosto na mnie, ale patrzył nie widząc; jego oczy przymknęły się bowiem nagle i utonęły teraz prawie zupełnie za podkurczonymi ku brwiom policzkami, a górne zęby przygryzły z bólu dolną wargę. Nie odwracając ciągle głowy, przybliżył się do pieca i po omacku wsunął odbandażowaną rękę w ogień. Przez jego ściągniętą twarz przebiegł skurcz bólu, oczy zdawały się wświdrowywać w głąb czaszki, zęby puściły dolną wargę i zacięły się ze zgrzytem, a na czoło wystąpiły wielkie krople potu. W ciągu tych kilkudziesięciu sekund zdażyłem zauważyć nie tylko jego przekłutą drgawkami bólu twarz, ale i rękę – spuchniętą kłodę, obciążoną złuszczonej od poparzeń skórą i ociekającą krwią i ropą, która skwiercząc jak oliwa spadała małymi kroplami na rozżarzone do czerwoności okrągłaki. Wyciągnął ją wreszcie z ognia, opadł ciężko na ławkę obok pieca i skłoniwszy głowę między kolana, zaczął lewym rękawem ocierać pot z twarzy. Uwolniony od tej strasznej próby, zdawał się teraz rozluźniać i rozpręzać jak kuglarz uliczny, który napiąwszy mięśnie ciała, wyzwolił się z krępujących go pęt, a potem opadł na środek chodnika niby przekłuty balon.

Zwlokłem się z pryczy i usiadłem przy stole, ale zauważyłem moją obecność dopiero wówczas, gdy ująłem przesiąkniętą i brudną szmatę, aby mu pomóc zabandażować z powrotem rękę. Spojrział na mnie ze zdumieniem i wdzięcznością, po chwili jednak w jego zmęczonych, nabiegłych krwią i łzami oczach zabłysnął niepokój.

– Widziałeś? – szepnął cicho.

Skinąłem głową w milczeniu.

– Nie doniesiesz?

Nie, nie doniosę. Przez tyle lat strzegłem zazdrośnie jego tajemnicy, mimo że w miesiąc po naszym spotkaniu już nie żył. Gdyż posiadłszy jego tajemnicę, posiadałem również wkrótce potem jego przyjaźń.

Działo się to, o ile mnie pamięć nie myli, niemal dokładnie w połowie marca 1941 roku, 15 kwietnia zaś wywieziono zwłoki Kostylewa za zonę. Znaliśmy się więc równo miesiąc, za mało, żeby przyjaźń odwzajemnić, ale dość, aby ją pozyskać. Kostylew przywiązał się do mnie jak pies i jeśli

można tego określenia użyć w obozie – stanowiliśmy nierozłączną parę. W istocie rzeczą bowiem rozłączała nas codziennie na kilkanaście, a czasem więcej godzin – praca. Kostylew figurował ciągle na liście zwolnionych i co trzeci dzień wieczorem chodził na oględziny do ambulatorium; nie ulegało wątpliwości, że przed każdą taką wizytą korzystał z pierwszej nadarzającej się sposobności w baraku, aby „przewinąć” rękę nad ogniem. Mimo bowiem, że wtajemniczył mnie już dokładnie w historię swego życia i wyjaśnił mi źródła swego dobrowolnego męczeństwa, jego samoudręka miała tyleż wspólnego z męczeństwem, co ze zwolnieniem od pracy. Dwa fakty zdawały się wskazywać na to bezspornie. Po pierwsze okoliczności, w jakich Kostylew wpadł na swój pomysł. Susząc raz na „lesopowale” w Mostowicy chleb nad ogniskiem, upuścił go przez nieuwagę i przerażony głodem, zanurzył bez wahania rękę w ogniu. Tegoż wieczoru dostał zwolnienie na siedem dni, w czasie których ułożył swój plan. Po drugie sposób, w jaki Kostylew spędzał swój wolny czas w baraku. Było dla mnie do końca naszej znajomości zagadką, której mi nigdy nie chciał wyjaśnić, skąd wydobywa w obozie takie ilości książek. W każdym razie Kostylew czytał po całych dniach, czytał w nocy, usadowiwszy się na górnej pryczy obok żarówki, czytał nawet w ambulatorium, czekając na swoją kolejkę.

W aktach sprawy Kostylewa musiała być jakaś adnotacja sędziego śledczego, nakazująca, aby go traktować nieco lepiej niż innych więźniów, bo mimo ciężkiej na nim zbrodni „tufty” wysłano go po wypadku na „lesopowale” do Jercewa z wyraźnym skierowaniem do brygady tragarzy na bazie. Nie jest również wykluczone, że przeniesienie do Jercewa pozostawało w pewnym związku z obiecany Kostylewowi – pierwszym od chwili aresztowania w 1937 roku – widzeniem z matką. Zostało ustalone jeszcze w Mostowicy, że stara Kostylewa przyjedzie z Woroneża do Jercewa w pierwszych dniach maja i spędzi z synem trzy dni w Domie Swidani. Misza żył w takiej euforii na myśl o tym spotkaniu, że nie dostrzegał groźnych mu niebezpieczeństw. Jego status – zdrowego w zasadzie więźnia, któremu z tajemniczych powodów nie goiła się ręka – był w sowieckim systemie pracy przymusowej czymś wyjątkowym i nie do zniesienia na dłuższą

metę. Doradzałem mu więc wielokrotnie, żeby przynajmniej do czasu widzenia z matką zarzucił swój proceder opalania ręki i poszedł choć parę razy na bazę. Potem zaś, potem – zrobi, co zechce. Uśmiechał się na te upomnienia łagodnie i odpowiadał z dziecinnym uporem:

– Nigdy, rozumiesz, nigdy już nie będę dla nich pracował.

W pierwszych dniach kwietnia gruchnęła w obozie wiadomość, że przygotowuje się etap na Kołymę. Dopiero dzisiaj, kiedy przeczytałem już wiele książek o niemieckich obozach koncentracyjnych, wiem, że etap na Kołymę był w sowieckich obozach pracy czymś w rodzaju odpowiednika niemieckiej „selekcji do gazu”. Analogia ta posuwała się aż tak daleko, że podobnie jak do komór gazowych, wybierano na Kołymę więźniów z wysokoprocentową utratą zdrowia, mimo że przecież – odwrotnie niż w Niemczech – posyłano ich nie na natychmiastową śmierć, ale do pracy wymagającej wyjątkowej odporności organizmu i siły fizycznej. Tajemnica tego upiornego nonsensu polega na tym, że każdy naczelnik obozu odpowiada przede wszystkim za swój obóz i zbiera cięgi lub pochwały za wykonanie planu produkcyjnego powierzonego jego sile roboczej, toteż gdy otrzymuje rozkaz dostarczenia określonej ilości więźniów na etap, pozbywa się chętnie wybrakowanych, a strzeże zazdrośnie pełnowartościowych. Tak czy owak nasz obóz zastygł z przerażenia. W barakach ucichły rozmowy, przy pracy ustały narzekania, ambulatorium opustoszało. Zbliżał się dzień Sądu Ostatecznego i stawaliśmy przed zagniewanym obliczem naszego Pana z pokornymi twarzami, śledząc błagalnym wzrokiem błyskawiczne poruszenia jego miecza.

Nawet wówczas Kostylew nie dał się przekonać i obok „nacmenów” z Trupiarni był regularnie co trzy dni jedynym pacjentem w ambulatorium. 10 kwietnia wieczorem zawiadomiono go, że jest na liście kołymskiej i nazajutrz rano ma się stawić w łaźni na „sanobrobotkę”. Przyjął ten cios mężnie, ale z pewnym osłupieniem. Wyszeptał tylko cicho:

– Nie zobaczę matki.

Nie umiem do dziś powiedzieć, co mnie skłoniło, że jeszcze tego wieczoru poszedłem do naczelnika obozu zaofiarować się na etap zamiast Kostylewa. Myślę, że głównie stan fizyczny i psychiczny,

w jakim się wówczas znajdowałem. Byłem u kresu sił i perspektywa trzymiesięcznej bezczynności – tyle w przybliżeniu trwała podróż na Kołymę – miała w sobie na krótką metę wiele zalet; byłem także jeszcze dość młody, aby z tą wędrówką na koniec świata wiązać jakieś nieokreślone emocje i nadzieje krajoznawcze; wreszcie – zaangażowałem się w przyjaźń z Kostylewem tak głęboko i bez reszty, że nie mogłem się teraz cofnąć w obliczu próby jej trwałości. Dość więc, że w gabinecie naczelnika wyłożyłem zastępcy Samsonowa swoją prośbę. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale bez śladu gniewu.

– To jest obóz – powiedział krótko – a nie sientimentalnyj roman.

Kostylew, któremu opowiedziałem o moim nieudanym zamiarze dopiero po powrocie z baraku naczelnika, nie był nim ani zdziwiony, ani nawet zaskoczony. Dla niego to był naprawdę „roman”, choć może nie tak „sientimentalnyj”, jak się to mogło wydawać zastępcy Samsonowa – „roman” z tragicznym zakończeniem, o którym już zapewne sam wiedział, i ostatnią próbą zapobieżenia mu, na którą zdecydowałem się właśnie ja – jego „choroszyj drug iz Zapada”. Uścisnął mi tylko rękę i wyszedł bez słowa. Mogło to być nasze pożegnanie, bo dalekie transporty zabierano czasem wprost z łaźni na stację.

Nazajutrz wieczorem czekał na mnie u wrót wartowni Dimka.

– Gustaw Josifowicz – szeptał bezładnie, chwyciwszy mnie za rękę – Kostylew oblał się w łaźni wiadrem wrzątku. Jest w szpitalu.

Nie wpuszczono mnie do szpitala, nie było już zresztą po co. Kostylew umierał w straszliwych męczarniach, nie odzyskawszy do końca przytomności. Tym razem został zwolniony na zawsze. I choć umarł inaczej, niż żył, gdy go znałem i na swój sposób kochałem, do dziś – niby symboliczny obraz człowieka, który przegrał po kolei wszystko, w co wierzył – widzę go z przekrzywioną od bólu twarzą i ręką zanurzoną w ogniu jak ostrze hartowanego miecza.

Nie zawiadomiono widać starej Kostylewej na czas o śmierci syna, bo w pierwszych dniach maja, gdyśmy czekali wieczorem na rewizję przed bramą obozu, strażnik pokazał nam ją na wartowni. Za oblodzoną szybą zobaczyliśmy jej drżące ręce, zgarniające do małego zawiniątka pamiątki po Miszy, i pomarszczoną, surową twarz, wstrząsaną suchym łkaniem. O, gdybyż to widział ten, który swym samotnym

i rozpaczliwym szaleństwem, swą dziecinną i ślełą tęsknotą za wolnością wysączył z jej oczu od dawna wszystkie łzy!